

# Gołębiewska, Wiesława

---

## Wspomnienia z lat wojny i okupacji (1939-1945)

---

Notatki Płockie 58/1 (234), 30-33

---

2013

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych [mazowsze.hist.pl](http://mazowsze.hist.pl).

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## **WSPOMNIENIA Z LAT WOJNY I OKUPACJI (1939–1945)**

### **Abstrakt**

Relacje Wiesławy i Zdzisława Gołębiewskich dotyczą epizodów z okupacji niemieckiej lat 1939 - 1945 na terenie Sierpca i powiatu sierpeckiego. Znajdujemy w nich kwestie wysiedlania Polaków ze swoich gospodarstw, wywózek na roboty do Rzeszy, ukrywania Żydów i zachowania się żołnierzy Armii Czerwonej w styczniu 1945 r.

**Słowa kluczowe:** Sierpiec 1939–1945, ukrywanie Żydów, Armia Czerwona w 1945 r.

### **Zdzisław Gołębiewski (ur. 1932)**

Urodziłem się w Gorzewie pod Sierpcem w 1932 r. i tam mieszkałem na tzw. rumunku, ok. 400 m od wsi. 3 maja 1939 r. zmarła mi mama. Kolegów miałem we wsi przy szosie do Płocka. Krótko przed wojną w Gorzewie kwaterował oddział polskiej kawalerii. Chodziłem do kolegów, a żołnierze dawali nam wojskową kawę w postaci cukierków. Były bardzo słodkie. Przed wybuchem wojny żołnierze ze wsi wyjechali.

W 1939 r. skończyłem 7 lat, więc 1 września miałem rozpocząć naukę w szkole w pobliskim Susku. Miałem już kupione książki, teczkę i szkolną czapkę. Wybuch wojny nie pozwolił mi na rozpoczęcie edukacji, jednak z dumą paradowałem w szkolnej czapce. Po paru dniach poszedłem do kolegów we wsi. Akurat szosą przejeżdżali Niemcy na motorze z przyczepą. Zatrzymali się i jeden z nich kiwnął na mnie ręką i zawołał – „Kom! Kom!”. Kiedy zbliżyłem się do niego zerwał mi czapkę z głowy, wyjął nóż, porznął czapkę i rzucił do wody, a mnie pchnął do rowu i z głośnym śmiechem obaj Niemcy odjechali. Z wielkim żalem po zniszczonej czapce wróciłem do domu.

Zimą 1941 r. kiedy Niemcy budowali szosę do Warszawy, wszyscy gospodarze, którzy mieli kamienie, musieli je wywieźć na szosę. Tam kamienie tłukli polscy więźniowie i robotnicy. Mróz wtedy dochodził do -30°. W marcu 1941 r. Niemcy wysiedlili nas z gospodarstwa, a w naszym domu zamieszkali sąsiedzi ze wsi, Kamińscy, którym Niemcy zabrali gospodarstwo. Niestety, w czasie zamieszkiwania bardzo nam dom zniszczyli. My zamieszkaliśmy u babci w Susku, bo po śmierci mamy ojciec ożenił się z Genowefą Machulską z Suska.

Ja w tym czasie pasłem krowy u Niemki po sąsiedzku, gdzie mieszkaliśmy, a zimą pomagałem w gospodarstwie. Niemka była dla nas bardzo dobra, jej mąż był na wojnie. Zimą czy latem dawała nam jeść, a do picia dawała nam

zawsze gorącą herbatę.

W marcu 1942 r. siedem rodzin z Suska – w tym mojego ojca – Niemcy mieli wywieźć na roboty do Rzeszy. Krótko przedtem ojciec był chory i leżał w szpitalu w Sierpcu. W komisji był niemiecki lekarz, który go pamiętał ze szpitala i po okazaniu dokumentów zwolnił go i jeszcze jedną rodzinę. Po wojnie wszyscy wywiezieni wrócili do Polski.

Potem zabrał nas wuj Kazimierz Maciejewski – brat mojej mamy – do Zbójna, gdzie mieszkał w gospodarstwie z 13-letnią córką Mieczysławą i tam mieszkaliśmy do końca wojny.

Jesienią 1943 r. znajomy wuja K. Maciejewskiego, Sieczkowski, przyprowadził do niego dwóch młodych (21 i 23 lata) Żydów – Felka i Zielka Kisielów z Białyszewa, gdzie ich rodzina miała gospodarstwo rolne. Ich bliscy zostali wymordowani przez Niemców, im udało się uniknąć śmierci. Początkowo przechowywał ich Sieczkowski, jednak nie mógł już ich dłużej ukrywać i prosił o ich dalsze przechowywanie wuja, który ich przyjął i ukrywali się u nas.

Wuj Kazimierz Maciejewski z moim ojcem Stanisławem Gołębiewskim i ze mną przy pomocy obu braci Kisielów w nocy potajemnie wykopaliśmy dla nich kryjówkę w ziemi, obok budynku gospodarczego, z wejściem ukrytym w kurniku. Kryjówka miała wymiary 3x3 metry i była wysoka na tyle, że można się było wyprostować. Na zewnątrz, nad kryjówką, leżały drewniane bale i łęty po ziemniakach, które z czasem zarosły trawą, tak że miejsce nie budziło podejrzeń. Tam znajdował się otwór wentylacyjny. Kryjówka była wyłożona słomą, wymienianą co jakiś czas.

O ukrywających się Żydach wiedziało tylko 5 osób: Kazimierz Maciejewski z córką Mieczysławą oraz mieszkająca u nich rodzina Gołębiewskich i tylko te osoby miały do nich dostęp, dostarczając im jedzenie. Ja im nosiłem obiady. Genowefa Gołębiewska prała im bieliznę i ubrania.

Stosunki między Żydami i nami układały się bardzo dobrze i obaj bracia zapewniali, że po wojnie odwdzięczą się. Zielek bardzo mnie polubił i mówił, że po wojnie pojedzie do Warszawy i jak tylko się tam urządzi, zabierze mnie do szkoły w Warszawie.

Bracia Kisielowie wychodzili na zewnątrz wieczorem i w nocy. Mimo, że w gospodarstwie jedzenia specjalnie nie brakowało, jednak obaj bracia nie chcąc być dla ukrywających ich tylko ciężarem, a być może także, aby przerwać monotonię bezczynności i ukrywania się, w nocy wyprawiali się na okolicznych kolonistów niemieckich, zajmujących polskie gospodarstwa. Ponieważ byli dobrze uzbrojeni – w pistolety, karabiny i granaty – pod groźbą użycia broni konfiskowali Niemcom żywność (mięso, mąkę, słoninę, miód, masło, itp.), nikogo jednak nie bijąc, ani nie zabijając. Zdobyte w ten sposób jedzenie służyło ukrywającym się i obu polskim rodzinom. Nie widziałem, żeby płacili za pomoc. Było to mało prawdopodobne, bo byli to młodzi chłopcy i nie mieli pieniędzy.

Z ukrycia wyszli dopiero po przejściu frontu w styczniu 1945 r. i obaj wstąpili do organizującej się milicji. Felek Kisiel został milicjantem w Goleszynie w powiecie sierpeckim, blisko rodzinnego Białyszewa, natomiast Zielek objął podobną funkcję w Otwocku k/Warszawy. Wkrótce potem obaj zginęli w nieznanych okolicznościach: Felek w Rogieniczkach blisko Goleszyna, natomiast Zielek – w Otwocku, gdzie został pochowany. Wujka powiadomił o tym znajomy.

Felek Kisiel został pochowany najpierw na cmentarzu w Goleszynie, skąd niedługo potem zwłoki przeniesiono na cmentarz żydowski w Sierpcu i prawdopodobnie spoczywa w zbiorowej mogile Żydów z powiatu sierpeckiego, zamordowanych przez Niemców w latach 1939–1945. Obu Żydów pamiętają do dzisiaj starsi ludzie z Goleszyna, Białyszewa i Rogienic.

W pobliskim Goleszynie niemieckim wójtem lub sołtysem był niejaki Gorący, wysoki, szczupły mężczyzna, który mieszkał w budynku plebanii. Był zagorzałym hitlerowcem i nienawidził Polaków. Jeździł konno po polach i pod byle pretekstem okładał pejcem pracujących Polaków. Za niedopełnienie obowiązków karał Polaków śmiercią. Wyglądało to w ten sposób, że spędzał polskich pracowników i mieszkańców i na ich oczach spuszczał na skazanego nieszczęśnika psy, które go rozszarpały. Budził powszechne przerażenie.

W Lelicach był posterunek niemieckiej żandarmerii. Jednym z żandarmów był Niemiec, dobrze znający język polski, kazał do siebie mówić Jasiu. Jak przyszedł do gospodarstwa na kontrolę kontyngentów, to się pośmiał, pożartował i nikomu krzywdy nie robił. Żandarmi cho-

dzili sprawdzać, czy kontyngenty zostały oddane: pszenica, żyto, świnie. Wuj K. Maciejewski bardzo się pilnował i zawsze oddawał w terminie nakazane dostawy, więc nie było problemu. Raz żandarmi przyszli we dwóch i mieli pretensje, dlaczego wuj nie oddał na czas pszenicy. Zboże było wprawdzie przygotowane w workach, ale jeszcze nie odwiezione do Boniśławia. Żandarmi byli mocno wzburzeni i grozili surowymi karami za spóźnienie.

W czasie okupacji pod jesionką przenosiłem słoninę i mięso do Białut, gdzie mieszkali kolejarze, którzy za żywność dawali nam buty i ubrania. Kiedy mieszkaliśmy w Zbójnie, mieliśmy kartki żywnościowe, które można było realizować w sklepie w Lelicach. W czwartki było mięso, a w sobotę kiełbasa. Do kościoła chodziliśmy drogą przez las do Boniśławia. Wprawdzie kościół się spalił od pioruna, ale czasami ksiądz odprawiał msze w pobliskim murowanym budynku.

W okolicy nie było większych akcji partyzantskich. Pamiętam opowieści o jednej pod Łysakowem na szosie z Sierpca do Płocka. Stało tam coś w rodzaju drewnianej piramidy i tam partyzanci przygotowali zasadzkę na Niemców. Zastrzelili żandarmów, jadących bryczką po szosie. W odwecie Niemcy aresztowali i rozstrzelali Polaków z Łysakowa i Zbójna.

Krótko przed wyzwoleniem do wujka przyszli w nocy partyzanci. Byli cały dzień i odeszli następnej nocy. Mówili, że za parę dni będą już Rosjanie. Komendantem tej grupy był Markowski z Białyszewa. Używał pseudonimu „Czołg”. W styczniu 1945 r. w sobotę akurat miałem iść do Lelic, ale nadleciały rosyjskie samoloty i zaczęły bombardować uciekających Niemców.

Przed wieczorem pod nasz dom oraz okoliczne zabudowania podjechały niemieckie czołgi. Niemcy ustawili czołgi wokół domów, przygotowując się do obrony. Mieszkańców – w tym także nas – wypędzili z domów, więc uciekliśmy do Rogienic. Tymczasem czołgiści w naszym domu robili sobie jedzenie. Ponieważ nic się nie działo, Rosjanie się nie pojawili, Niemcy po ok. godzinie odjechali. Mogliśmy wrócić do domu.

Kiedy przeszedł front, na drugi dzień przechodziły oddziały rosyjskie na koniach. Konie mieli bardzo zmęczone, więc zabierali gospodarzom ich konie, a zostawiali swoje szkapy. Wujowi też chcieli zabrać. Babcia zaczęła płakać i nie chciała im dać naszego konia, wtedy Rusek zdjął z pleców pepeszę i wołał – „Uchodi, bo zastrielu!”. Wtedy wujek odciągnął babcię, a Ruski wsiadł na konia i odjechał. Pozostali Rosjanie pytali, czy daleko do Berlina. Następnego dnia przyjechali inni Rosjanie i zabrali tego konia, zostawionego przez żołnierzy. Wuj dał mu pić i jeść, koń trochę odpoczął i wyglądał

już lepiej. Zostawili jeszcze gorszego konia, le-  
dwo żywą chabetę. Więcej już się nie pojawili.

W tym czasie w okolicy Gorzewa sowieckie  
czołgi pojawiły się akurat w momencie, kiedy  
Niemcy uciekali pociągiem z Płocka do Sierpca  
i dalej – do Torunia. Czołgi zaczęły strzelać do  
pociągu, trafiając go i zapalając. Trafiony po-  
ciąg się wykołoił i przewrócił. Wielu Niemców  
zginęło, a z pociągu zostały tylko spalone zgłisz-  
cza. Wrak pociągu leżał potem jeszcze długo  
na polu. Dopiero po jakimś czasie usunięto złom,  
udrażniając linię kolejową. Okoliczni mieszkań-  
cy Gorzewa i pobliskich gospodarstw po odej-  
ściu Rosjan poszli do płonącego pociągu i za-  
bierali co się jeszcze nie spaliło. Wśród wielu  
rzeczy były tam także kosztowności i złoto.

Po wyzwoleniu wróciliśmy do Gorzewa do  
bardzo zniszczonego gospodarstwa. Granic mię-  
dzy polami Niemka nie pozwoliła zaorać pra-  
cującym u niej Polakom, jakby przewidując, że  
długo tu nie pobędzie. Z dobytkiem kazala Ka-  
mińskim podzielić się z nami, ale gdy ojciec  
poszedł do Kamińskiego, ten go przegonił i nic  
mu nie dał, mimo że po Niemce zostały krowy i  
świnie.

Po wojnie poszedłem do szkoły w Susku i tam  
skończyłem podstawówkę. Wkrótce po przejściu  
frontu w Susku uruchomiono szkołę podstawową,  
więc wszystkie dzieci z okolicznych wsi: Gorze-  
wa, Suska, Grodkowa poszły do szkoły. Nic nie  
mieliśmy, żadnych zeszytów, ani książek. Pisa-  
liśmy ołówkami na kartonach wziętych ze spalo-  
nej drukarni w Sierpcu. Wprowadzili Niemcy ją  
podpalili, ale nie wszystko się spaliło, więc cho-  
dziliśmy do Sierpca i zbieraliśmy te niedopalo-  
ne kartony (białe i żółte) i na nich pisaliśmy.

Kierownikiem szkoły był Piotrowski, jego żona  
po wojnie skończyła jakiś kurs i oboje byli pierw-  
szymi nauczycielami. Mieszkali w szkole. Począ-  
tkowo było ich tylko dwoje, później przyszedł  
Stanisław Żurawski z Gorzewa i jeszcze jeden,  
którego już nie pamiętam. Pisali na tablicy, a  
my przepisywaliśmy na tych kartonach. W każ-  
dej sali byli uczniowie na innym poziomie umie-  
jętności i Piotrowski chodził od sali do sali, za-  
dając prace do napisania i potem je sprawdzał.  
Uczniów było coraz więcej, bo wracali ci z ro-  
bót z Niemiec i przysyłali dzieci do szkoły.

Później, jak skończyłem 5 klasę, czyli mia-  
łem już 18 lat, a było takich jak ja więcej, zro-  
bili dla nas szkołę wieczorową i chodziliśmy do  
niej. 6 i 7 klasę skończyłem więc w wieczorów-  
ce. Do starego składu nauczycieli doszedł Ski-  
biński z Suska i jeszcze jakaś nauczycielka. Mie-  
liśmy już normalne lekcje, książki i zeszyty. Rok  
szkolny w wieczorówce był nieco krótszy: mie-  
siąc później zaczynaliśmy i miesiąc wcześniej  
kończyliśmy naukę.

## Wiesława Gołębowska (ur. 1938)

Od czasów przedwojennych mieszkałam z ro-  
dzicami – Marianem i Antoniną z Wierzbickich  
Malanowskimi – i dwoma nieco starszymi sio-  
strami – Janiną i Hanną – w Sierpcu przy ul.  
Płockiej 71. Tata prowadził warsztat ślusarski,  
mama zajmował się domem i dziećmi i dorabia-  
ła szyciem. Okupacja niewiele zmieniła w na-  
szym życiu codziennym. Tata dalej prowadził  
warsztat, wykonując różne naprawy na rzecz  
Niemców. Mimo, że z racji wieku byłam dziec-  
kiem, jednak nieco pamiętam. Część faktów znam  
z opowieści rodzinnych.

Któregoś dnia zimą Niemcy zapędzili jakichś  
ludzi więźniów z sierpeckiego więzienia do od-  
garniania śniegu sprzed kościoła protestanckie-  
go, bo napadało strasznie dużo śniegu. Niemcy  
ich pilnowali i ci ludzie pracowali cały dzień o  
głodzie. Babcia Antonina Wierzbicka napiekła  
chleba, pokroiła go na kromki i dała mnie i moim  
starszym siostrom w fartuszki i poszliśmy z tatą  
dać chleb tym pracującym ludziom. Tata – jako  
szanowany fachowiec – zagadywał strażników,  
a my ukradkiem rzucaliśmy im te kromki chleba,  
które łączywie zjadali.

W czasie okupacji Niemcy chcieli mojego tatę  
zabrać na roboty do Rzeszy. Znalazł się na liście  
wywozowej i znajdował się już w wagonie na  
stacji kolejowej w Sierpcu. W ostatniej chwili przed  
odjazdem pociągu zauważył go Niemiec, dla któ-  
rego naprawiał maszyny i urządzenia. Znajomy  
Niemiec zwrócił się do kierownika transportu tłu-  
macząc, że tata bardziej będzie potrzebny na  
miejscu, niż w Niemczech, dokąd może jechać  
ktoś inny. Między Niemcami doszło do dużej  
awantury. Znajomy Niemiec wyciągnął nawet  
pistolet i zaczął grozić temu drugiemu. Doszło do  
szarpaniny i załadowany pistolet wystrzelił, na  
szczęście trafiając tylko w pobliskie drzewo. Wo-  
bec nieustępliwości znajomego Niemca tata zo-  
stał zwolniony z transportu i ku naszej radości  
wrócił do domu.

W styczniu 1945 r. do Sierpca zbliżał się front.  
Niemcy przygotowywali się do ucieczki. Zamie-  
rzali podpalić znajdującą się ok. 100 m od na-  
szego domu fabryczkę „Sierpczankę”. Zanim się  
ewakuowali powiedzieli niektórym Polakom m.in.  
tacie, żeby sobie wzięli ile chcą materiałów i nici  
z magazynu Ponieważ tata naprawiał im różny  
sprzęt, chcieli się odwzięczyc. Tata zabrał ile  
mógł materiałów, nici i guzików i potem mama  
szyła z tego spódnice i spodnie. Ze spalonej  
„Sierpczanki” zostały tylko mury. Niemcy spalili  
też sierpecką drukarnię.

Wkrótce potem nadszedł front. Niemcy ucie-  
kali jak tylko mogli. Jeden z nich uciekał na  
koniu, ale przed naszym domem przy ul. Płoc-  
kiej Rosjanie mu konia zabili, więc uciekł w pole

w stronę torów kolejowych. Koń został na szosie i tata mówił, że trzeba go zabrać i zrobić z niego kiełbasy. Było jednak ciągle niespokojnie i niebezpiecznie, więc trzeba było odczekać jakiś czas. Potem się okazało, że zabitego konia rozdziobały ptaki i z koniny nic nie wyszło.

Przez pola jechał rosyjski czołg prosto na jałónek w naszym sadzie. Obok niej tata wykopał ziemiankę, w której się schowaliśmy, bo przebywanie w domu mogło być niebezpieczne. Widząc, że czołg jedzie prosto na ziemiankę, babcia Wierzbicka wyskoczyła na górę i zaczęła machać, aby ominął drzewko i naszą ziemiankę. Gdyby po niej przejechał – wszyscy byśmy zginęli. Na szczęście czołg skręcił i ominął drzewko, tylko lekko je zahaczając i zdzierając korę.

Wkrótce przyjechali Rosjanie. Chyba jakoś się dowiedzieli, że tata prowadzi zakład ślusarski, bo chcieli aby naprawił im czołg. Tata, po obejrzeniu uszkodzeń, powiedział im, że się go nie da naprawić. Na to Rusek sam zaczął spawać, ale - ponieważ nie umiał tego robić - poparzył sobie całą twarz. Widząc jak mocno jest poparzony moja babcia Antonina Wierzbicka zrobi-

ła mu opatrunek z jajek. Twarz czołgisty była tak mocno poparzona, że rano jajka na jego twarzy wyglądały jak usmażona jajecznica. Po zdrapaniu tego prowizorycznego opatrunku okazało się, że twarz wygląda całkiem nieźle.

W styczniu 1945 r. był bardzo silny mróz. Żołnierze byli zmarznięci, więc po wejściu do domu zaczęli rąbać podłogę, rozpalili ogień i grzali sobie przy nim ręce. Wyrąbali już znaczną część podłogi, kiedy tata to zobaczył i nie chciał im pozwolić na dalsze dewastowanie domu. Doszło do sporej awantury, Rosjanie zaczęli nawet grozić, że go zastrzelą. Dopiero babcia Wierzbicka ich udobruchała. Zrobiła im garnek zacierek z mąki przechowywanej gdzieś przez dziadka, do którego dolewali mleka z puszek, które mieli ze sobą. Mieli też razowy chleb, którym nas częstowali, ale był niedobry. Mieli też czarną kawę w puszkach, którą im mama zrobiła. Nie było gdzie spać, więc w jednym z pokoiw tata przyniósł im słomy i rozrzucił na podłodze i Ruscy tam spali, przykrywając się płaszczami. Rano Rosjanie wsiedli do czołgu i pojechali na zachód. Tak się skończyła dla nas wojna.

opracował: **Grzegorz Gołębiowski**

## MEMORIES OF THE WAR AND OCCUPATION (1939–1945)

### Summary

The descriptions of Wiesława and Zdzisław Gołębiewscy relate to episodes from the German occupation (years 1939–1945) in Sierpc and the nearby district. We may find there issues concerning the displacement of Poles from their farms, deportations to labour in the Reich, hiding Jews and the behaviour of the Red Army's soldiers in January 1945.